



ANNA WEBER  
ALEKSANDRA WOŹNIAK

# mama lama

CZYLI MACIERZYŃSTWO  
I INNE PRZYPADŁOŚCI ŻYCIOWE





ANNA WEBER  
ALEKSANDRA WOŹNIAK

mama  
laxama

CZYLI MACIERZYŃSTWO  
I INNE PRZYPADŁOŚCI ŻYCIOWE



OTWARTE

Kraków 2019

# Spis treści

Wstęp

---

s. 7

Rozdział 1

Czy macierzyństwo zmienia na lepsze?

---

s. 11

Rozdział 2

Jak poznać, że jestem dobrą matką?

---

s. 33

Rozdział 3

Jednak nic nie wiedziałam o połogu

---

s. 51

Rozdział 4

A jeśli już nigdy nie założę bikini?

---

s. 69

Rozdział 5

Czy to wstyd, że mam dość macierzyństwa?

---

s. 95

---

## Rozdział 6

Jestem głupia czy tylko karmię?

s. 129

## Rozdział 7

Dlaczego to dziecko tyle płacze?

s. 149

## Rozdział 8

Jak ogarnąć własne dzieci?

s. 181

## Rozdział 9

W co się bawić z dzieckiem?

s. 247

## Rozdział 10

Mama na etat czy mama na etacie?

s. 275

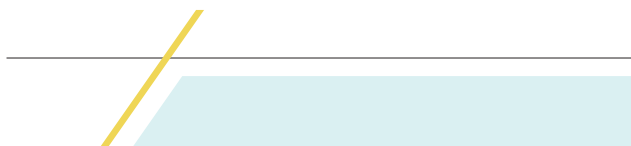
Zakończenie

s. 325

Podziękowania i dedykacje

s. 331







# Wstęp

Ania

Kim ja jestem, żeby dzielić się swoimi przemyśleniami? Czy mam dziesiątkę dzieci i wychowałam je w buszu bez pralki i wszelkich ekranów? Nie, tylko trójkę i jedynie mieszkam blisko lasu. Czy może jestem mamą genialnego astrofizyka i sprzedam wam triki pozwalające takiego geniusza wyhodować? Nic z tych rzeczy. Czy przeżyłam życiową tragedię i teraz niosę innym matkom jakieś szczególne przesłanie? Dzięki Bogu nie i mam nadzieję, że nie będzie mi dane takiej tragedii doświadczyć. Przesłanie tej książki sprowadza się tak naprawdę do kilku prostych informacji. Będzie dobrze. Ciężko, ale dobrze. To my wpływamy na to, czy macierzyństwo nas zabije czy wzmocni. To my decydujemy o tym, jak będziemy wychowywać dzieci, z jakich porad skorzystamy, jak zorganizujemy naszą codzienność. Te decyzje każda z nas podejmuje indywidualnie i sama mierzy się z ich konsekwencjami. Dobrze jest więc podejmować je świadomie i odpowiedzialnie, równocześnie dostrzegając wolność i możliwości, jakie mamy. Tylko tyle i aż tyle.

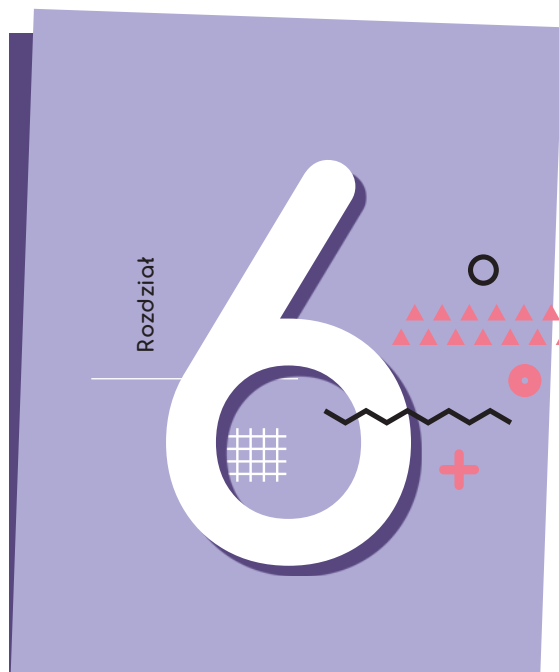
Nie brzmi atrakcyjnie? Jasne, lżej byłoby przeczytać książkę pod tytułem „Macierzyństwo to pestka: cztery sposoby na szczęśliwą mamę i szczęśliwe dziecko”, ale nie byłaby to książka o tym

świecie. Nawet jeśli nie mamy ochoty pracować nad sobą każdego dnia, dobrowolnie brać trud na swoje barki i rezygnować z siebie, to warto pamiętać, że złoto wydobywa się w pocie czoła, a brylant trzeba najpierw precyzyjnie oszlifować. Jest jednak i druga strona tego ciężkiego i wartościowego medalu: luz i spokój. Stresowanie się rzeczami, na które nie mamy wpływu, jest naszą specjalnością, choć nigdy nie przyniosło nikomu niczego dobrego. Macierzyństwo to wazkie i wzniosłe zadanie, często jednak najlepiej jest odpuścić, obniżyć poprzeczkę, wyrzucić do śmieci swoje oczekiwania i ambicje. Właśnie wtedy zaczyna się radość, której żadne inne doświadczenie życiowe nie jest w stanie dać. Radość z bycia mamą. Mamą lamą.



Czy to, że nie jestem wykształconym pedagogiem albo psychologiem, a mój staż rodzicielski nie jest zbyt duży i dzieci mam tylko troje – a nie szesnaścioro – nie pozwala mi dzielić się przemyśleniami o macierzyństwie? Każda z nas jest częścią wielkiej całości splecionej w sieć milionów ludzi i każda z nas ma znaczenie. Nasza historia – choć może nie tak emocjonująca jak historia osoby obok – ma wpływ na tę sieć. Dlatego podjęłyśmy się napisania tej książki w nadziei, że przyniesie komuś ulgę i zrozumienie w tym bardzo specyficznym czasie, kiedy witamy w rodzinie nową istotę. Nie jest to książka o uzalaniu się nad sobą ani o dziesięciu złotych zasadach, które zbawią nasze macierzyństwo, choć miejscami pewnie pojawi się i to, i to. Będą anegdotki z życia, fotki, mniej lub bardziej odkrywcze porady oraz kilka półfilozoficznych wywodów. Obiecujemy też, że parę razy zdarzy wam się uśmiechnąć podczas lektury. Zatem bawcie się dobrze!





---

JESTEM GŁUPIA  
CZY TYLKO  
*karnię?*

---



Jest naukowo udowodnionym faktem, że kobieta w ciąży i podczas karmienia piersią... jak by to ująć?... staje się głupsza. Nie obrażam – sama jestem w tej sytuacji – tylko informuję. W skrócie: naukowcy, z Òscaem Vilarroyą i Susanną Carmoną na czele, przez pięć lat badali mózgi kobiet, które zaszły w ciążę. Za pomocą rezonansu magnetycznego obserwowali stan substancji szarej i pewnych obszarów mózgu przed poczęciem, w trakcie ciąży i po porodzie. Zaobserwowali oni znaczne zmniejszenie się substancji szarej, odpowiedzialnej za poznawanie socjalne, czyli procesy związane z gromadzeniem, przetwarzaniem i dostarczaniem informacji na temat ludzi lub sytuacji, w których się znajdujemy. Naukowcy uważają, że jest to naturalny mechanizm wyostrożania koncentracji matki na nowym życiu, które ma się pojawić. Teoretycznie owe procesy nie ingerują w funkcje poznawcze, takie jak zapamiętywanie, ale spokojnie, dochodzą przecież klasyczne niewyspanie oraz ogólnie pojęta „siecinka hormonalna”, które dołożą swoją cegiełkę.

Ach, ach, ach... to jeden z moich ulubionych rozdziałów życia, kiedy próbuję się porozumieć z własnym mózgiem, ale on jakby znika w oddali i od tej pory mam z nim kontakt tylko w języku migowym. Dobrze by było jeszcze, żeby on ten język znał, ale szczerze mówiąc, jego poziom jest średniozaawansowany (podstawowe wyrażenia w miarę czai, ale jak trzeba skumać bardziej skomplikowaną informację, to się poddaje, odwraca wzrok i patrzy w inną stronę, totalnie ignorując to, że ja tu czegoś od niego potrzebuję!). W magicznym czasie ciąży i karmienia, który

rozciąga się na okres średnio dwóch lat, jeśli ktoś spotka mnie na ulicy i będzie się starał przekazać mi jakiś bardziej zaawansowany koncept, ja będę potakiwała, ale prawdopodobieństwo, że moje potakiwanie oznacza zrozumienie tematu, wynosi dokładnie pięćdziesiąt procent. Nawet jeśli zrozumie temat, ryzyko tego, że zapomnę, o czym rozmawialiśmy, wynosi jakieś siedemdziesiąt pięć procent.

Nie chcę nikogo zniechęcić do konwersacji ze mną. Staram się ze wszystkich sił ten problem rozwiązać mimo braku współpracy mojego mózgu. Uprzedzam tylko, że takie kwiatki będą się pojawiać. Ostatnio, kiedy ktoś chce ze mną coś załatwić, kończąc rozmowę, podkreślam trzy razy, że ma mnie prześladować wszelkimi sposobami, jakie oferują dzisiejsze media, i przypominać mi o sprawie, bo ja dokładnie za pięć minut zapomnę o tym, co miałam dla kogo zrobić. Głupio się czuję, kiedy ktoś – a statystycznie najczęściej jest to mój mąż – prosi mnie o coś, a ja idę do drugiego pokoju właśnie to zrobić i po pięciu minutach wracam zajęta już inną sprawą. Łukasz następnego dnia pyta, czy ta sprawa jest już załatwiona, a ja na to: „Ale jaka sprawa?”. On cierpliwie przypomina, ja udaję się do drugiego pokoju „załatwić tę sprawę”, po czym idę... pod prysznic. Mój kochany mąż po powrocie z pracy pyta, czy „to” już jest załatwione, a ja mam ochotę udusić własny mózg, że się zajmuje pierdołami i ani razu mi nawet nie przypomniał, że „to coś” miało być załatwione już dwa dni temu! Wtedy proszę Łukasza, żeby mi podał komórkę do ręki i stał przy mnie, kiedy będę „to coś” załatwiać. Odpalam komórkę, wchodzę na fejsa, obczajam powiadomienia... Mój kochany mąż pyta: „Co robisz?”, ja na to: „Grrrrrr”, po czym ostatecznie wchodzę, gdzie miałam dawno wejść, dosłownie w dwie minuty załatwiam całą sprawę i zrobione. MA-SA-KRA!

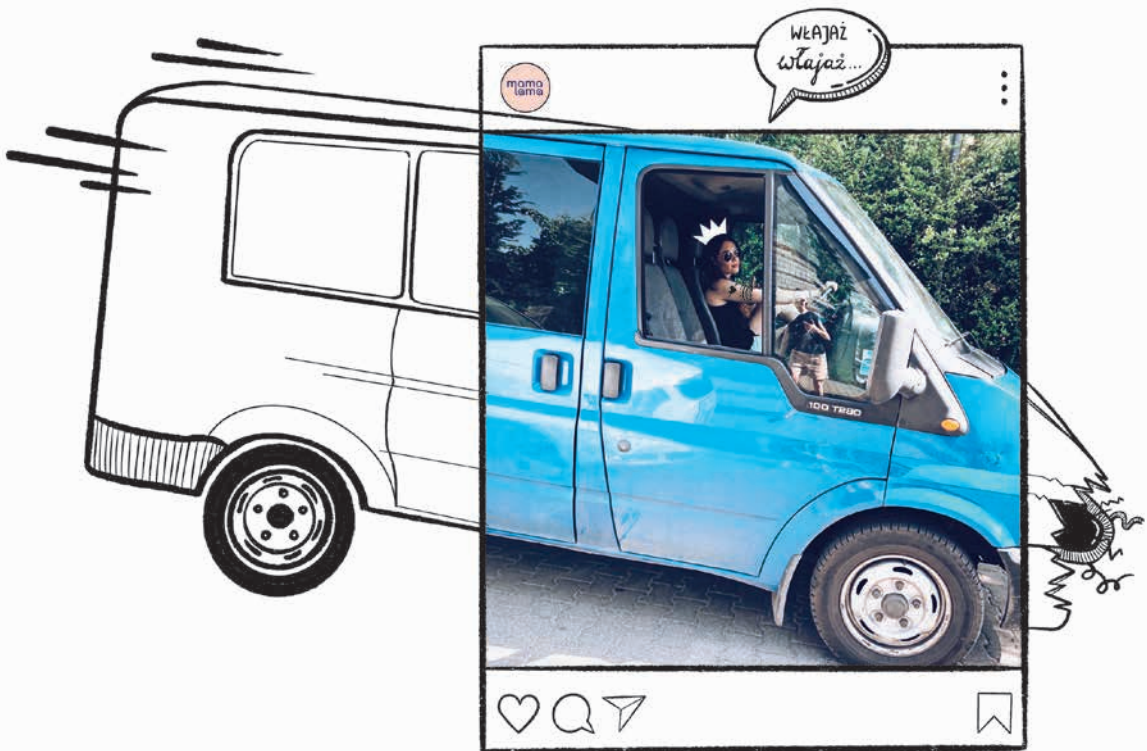
Jak można żyć z takim mózgiem?! Zawsze miałam problemy ze skupieniem uwagi, ale to, co się dzieje ze mną od paru lat, przechodzi ludzkie pojęcie.

Czasami czuję się, jakbym tonęła w morzu własnych myśli. Może nie tonęła, ale przynajmniej dryfowała. Myślę o tym, że muszę zrobić obiad, ale jeszcze nie wywiesiłam prania, więc idę do łazienki, a tam widzę nieodłożone pidżamy moich dzieci. Zabieram je do pokoju, odkładam i zauważam połowę świeżego prania do poskładania – druga połowa suszy się od dwóch dni w łazience. Wracam więc do łazienki po drugą część prania, ściągam i odnoszę ją do pokoju. Nie będę go teraz składała, bo właśnie woła mnie któreś dziecko. Nalewam soczek. Poję młodszego, przychodzi starsza i też chce. Nalewam, ale ona chce w innym kubeczku. Przelewam. Przypomina mi się, że muszę zrobić obiad. Wysłałam dzieci do pokoju i mówię, że zaraz przyjdę – „zaraz”, czyli za minimum piętnaście minut. Dzieci wychodzą. Zaglądam do lodówki, nie mam tego, co było w planach na obiad, bo jest włoszczyzna, ale przecież nie zrobiliśmy jeszcze zakupów, a porcji rosółowej z powietrza nie wezmę. Jest 10.55, więc jak się sprężymy z wyjściem, to przed drzemką zdążymy. Wołam dzieciaki, że idziemy na spacer. Eunika jest w pidżamie, a Michał biega bez spodni i skarpet. Zbieram ciuchy, idę do salonu, siadam na kanapie i wołam, żeby się przyszli ubrać. Oni są akurat w sypialni na łóżku i właśnie zaczęli się słodko razem bawić w gniazdo, które układają z kołder, więc siedzę sama na kanapie w salonie. Nie chce mi się wstawać ani iść na zakupy, siedzę zatem minutkę z zamkniętymi oczami. Jedna minutka, druga, piąta... „Czy my rzeczywiście potrzebujemy dzisiaj jeść obiad? Może wystarczy im, jak ugotuję makaron? Może makaron z masłem? Nie, to przecież pasza. Plus jedliśmy makaron z pesto dwa dni temu. To może po prostu kanapki? Nie...

oni nie lubią kanapek. Dobra, zbieram się”. Idę do dzieci, ubieram je, a one uciekają mi ze trzy razy podczas tego procesu.

Wychodzimy. Nie zdążyłam zrobić siku przed wyjściem, ale zacisnę zęby i pewne mięśnie i jakoś dam radę. Dzieci biegną przede mną, włączają na murki, płoty, zbiegają komuś kilka razy po podjeździe do garażu w piwnicy. Dochodzimy do sklepu. Przelatujemy jak strzała, zbieram, czego potrzebuję, plus milion innych rzeczy po drodze, których też potrzebujemy, co przypomniało mi się spontanicznie na miejscu, walczymy troszkę z naszym podwójnym wózkiem przy kasie i pędzimy do domu, bo Michał jest już na skraju wytrzymałości. Wchodzimy po schodach, Michał ucieka na pierwsze piętro, a że pręty są w poręczach powyłamywane, stresuję się, że on się wychyli i spadnie. Szybko lecę z wózkiem po schodach, otwieram mieszkanie i biegnę po Michała. Eunika jęczy już w domu. Rozbieram towarzystwo, wysiukuję starszą, kładę oboje do łóżeczek, któreś znowu woła o picie. Szybkie pojenie, wyciągam zakupy z wózka i padam na twarz, a jest południe. Wchodzę do łazienki w końcu zrobić siku i wtedy przypomina mi się, że wciąż nie rozwiesiłam prania i wciąż nie ugotowałam obiadu...

W tym przypadku nie jest to może skutkiem mojego rozkojarzenia i zaćmienia umysłu, ale wynika z intensywności matczynego życia w ogóle. Niemniej tworzy to obraz pokazujący, jaką rwącą rzeką są czasami moje myśli i dokąd mnie prowadzą. Nie dziwię się przy tym, że matkom kurczy się mózg, bo ilość zmiennych i zadań w ciągu dnia jest ogromna i nie ma się co inteligencić, tylko trzeba zakasać rękawy i jechać dalej. Żeby to tylko takie proste było... Bo ogarnąć dzień z dziećmi w miarę się da, ale gorzej jest, kiedy trzeba gdzieś pojechać samochodem. 😊



Dla zrównoważenia słodkości poprzedniego posta wrzucam siebie za kierownicą naszej „morskiej świni”. Dziewięciomiejscowy kontener na kółkach, ciężki do zaparkowania gdziekolwiek, ale przestrzeni w środku „milion”. Ja za kółkiem jako królowa „włajazy”, póki co dwójka dzieci w drugim rzędzie, a na ilu skończymy, to się okaże ;) Zdjęcie sprzed roku by @annavonweber ;)

#samochód #fordtransit #auto #kobietazakółkiem #lubiepatrzećnainnychgóry #wsensieże #duzysamochod



Mój tata wiele zainwestował, żebym w liceum zrobiła prawo. Egzamin, a ściślej egzaminy, pamiętam jako top trzech najbardziej stresujących sytuacji w moim życiu. Oczywiście jestem wdzięczna mojemu tacie, że mnie wtedy do prawka przymusił, bo w macierzyństwie samochód przydaje się ekstremalnie! Szybkie zakupy, odwiedzenie innej mamy na *play date* czy nawet wjechanie tyłem w inny samochód – no, samochód jest po prostu potrzebny, bez samochodu ani rusz! Jeździłam raczej sporadycznie do czasu małżeństwa, kiedy to Łukasz przekonał mnie, żebym się przełamała i zaczęła robić użytek z prawka. „Poznań – miasto doznań”, czyli w porównaniu do mojego rodzinnego Giżycka ruch na ulicy i niezbędne zaawansowanie umiejętności – *level up*, a samochód mamy o jeden rozmiar mniejszy od ciężarówki (niebieski ford transit) i biegi wchodzą opornie jak nauka niemieckiego, więc mojego przełamania się trochę było. I kiedy już prawie zostałam królową poznańskich ulic, zaszłam w ciążę.

Wcześniej nigdy mi się nic nie przytrafiło na drodze, ale podczas pierwszego trymestru mój mózg doznał zaciemnienia i w ciągu miesiąca miałam dwie stłuczki. Dwie! Wyjeżdżając z parkingu spod biura mojego męża, musiałam wycofać, omijając samochód za mną, i po prostu włączyć się do ruchu. Wykonałam każdy z tych kroków, ale dodałam jeszcze jeden nadprogramowy – wjechałam w samochód zaparkowany za tym, który ominęłam. Pierwszy raz usłyszałam na własne uszy dźwięk łamiącej się karoserii. Totalna panika i przerażenie. Zadzwoiłam po mojego męża, który wyszedł z biura i uratował sytuację bez wypominania mi niczego!

W tym samym miesiącu wracałam naszą „morską świnią” z próby muzycznej – odwoziłam wtedy cały zespół. W jednokierunkowej

ulicze napatoczyliśmy się na samochód, który stał na awaryjnych. W teorii było miejsce, żeby jakimś małym samochodem przejechać, ale nasz kontener na kółkach nie przeszedłby nigdy. Zapaliły się światła wstecznego (pewnie kierowca chciał mi zrobić miejsce), więc żeby dać cofającemu więcej przestrzeni, wrzuciłam wsteczny i wrypałam się w taksówkę, która stała za mną. Spisywanie papierów, śmiech reszty zespołu i większe składki ubezpieczenia... takie tam, wiecie, bonusy...

W drugiej ciąży zignorowałam znów swój stan błogosławiony i pełna wigoru wybrałam się z Euniką do sklepu. Jak się okazało jednoczesne włączanie się do ruchu i zapinanie pasa nie było najlepszym pomysłem. Kierowca, który wjechał w mój bok, nie wiedząc czemu nie wziął pod uwagę tego, że pas zablokuje mi rękę i nie zdążę odbić kierownicą. Spisywanie papierów, telefon do męża, lekko zestresowana Eunika i większe składki ubezpieczenia... bonusy, bonusy, bonusy...

Teraz jestem w trzeciej ciąży i zastanawiam się, czy mój mózg już sobie poradzi na drodze trochę lepiej, czy może powinnam oczekiwać kolejnych niespodzianek. Notabene – ciekawe, czy stereotyp „baby za kółkiem”, który sama trochę uznaję, nie powstał właśnie przy znacznym udziale matek karmiących i ciężarnych... Ja sama, kiedy wymijam jakiś samochód zagubiony na środku skrzyżowania, zawsze zaglądam, żeby sprawdzić, kto to tam siedzi za kółkiem. Niestety, z moich statystyk wynika, że większość zagubionych kierowców to kobiety lub osoby starsze. Ale szczerze mówiąc... gdyby zabrać kobietom prawo, byłyby to strzał w stopę dla mężczyzn, bo albo musieliby zatrudnić i opłacać nam szoferów, albo współczynnik depresji wśród kobiet, spowodowanej niemożnością wyrwania się z własnego domu,

znacznie by wzrósł. Dlatego, mężczyźni nasi najukochańsi, dziękujemy za wyrozumiałość i polecamy się waszej trosce i uwadze – zwłaszcza na drodze.

Zjawisko potocznie zwane odpieluszkowym zapaleniem mózgu przywodzi mi na myśl jeszcze jeden aspekt. Może jest to tylko moja przypadłość? Ewidentnie jest to cecha, którą w prostej linii dziedziczę po mamie. Ale może ktoś też ją ma i poczuje ulgę. Nie uważam, żeby był to niesamowity problem i pewnie większość ludzi również nie uzna tego za wielką wadę. Jeśli jednak żyje się z osobą posiadającą tę cechę pod jednym dachem – tak jak mój mąż – rozumiem, że może to działać na nerwy. Otóż moja przypadłość, która nasiliła się w okresie ciąży i macierzyństwa, to powtarzające się komunikowanie rzeczy oczywistych. Wstajemy z Łukaszem rano, tulimy się z dziećmiakami w łóżku, a mój mózg ma nagłą potrzebę zakomunikowania mojemu mężowi rzeczy wiadomej: „Robimy zaraz śniadanie, nie?”. Na co on odpowiada znacząco: „Taaaak?”. Wtedy oczywiście dociera do mnie, że on właśnie po to, jak co dzień, wstał. Albo wysiadamy z samochodu po podróży, a ja pytam Łukasza, czy on weźmie delikatnie nasze śpiące dzieci i bagaże. I czy ja mam wziąć te dwie torby? Dla niego to jest rzecz oczywista, bo on i tak już w swojej głowie ogarnia wszystko, przecież głupi nie jest i naszym śpiącym potomstwem raczej rzucał nie będzie!

Niemalże codziennie robię mininarrację tego, co się dzieje i co zaraz będzie się działo, co jeszcze trzeba wziąć pod uwagę i o ile nie są to jakieś nowatorskie plany, większość rzeczy jest oczywista. Tego mój mąż nie lubi bardzo – rzeczy powszechnie wiadome powinny pozostać rzeczami powszechnie wiadomymi, a nie stać się tematem rozmów. Dla mnie jednak, matki, której

mózg nastawiony jest głównie na potrzeby dzieci i przewidywanie wszystkich możliwych wersji biegu wydarzeń w każdym możliwym wymiarze, jest to absolutnie kluczowe, żeby mieć zarysowany konkretny plan. Dla mnie przygotowanie śniadania nie od razu, lecz za dwadzieścia minut, stwarza potencjalne zagrożenie, że dzieci zrobią się już zbyt głodne i poranek, który może przebiec gładko, zmieni się w wyboistą drogę i braknie choćby czasu na prysznic. Przełożenie dzieci delikatnie bądź niedelikatnie to dla mnie różnica ogromna i przecież umrę, jeśli tego nie zakomunikuję. Mój mąż raczej się z tego śmieje, niż tym denerwuje. Chyba nie ma innego wyjścia. 😊

Podsumujmy. Jeżeli chcesz się stać smakoszem lub koneserem sztuki, odkryć i docenić prawdziwe piękno, musisz spędzić bardzo dużo czasu na smakowaniu, rozkoszowaniu się i analizowaniu. Muzyka klasyczna dla kogoś, kto nie miał z nią wcześniej styczności, będzie OK, ładna lub niezrozumiała. Natomiast kogoś, kto się na niej zna, przesłuchał milion koncertów i przeanalizował milion partytur, konkretny utwór poruszy do łez albo zachwyci. Jednak jeśli koneserowi klasyki puścimy rapowy utwór J. Cole'a *G.O.M.D.*, padnie na zawał lub w najlepszym wypadku zrobi wielkie oczy, bo niezły bit i przesadzone basy będą dla jego uszu jak tortury. Matczyny mózg chyba dlatego tak mocno skupia się na dzieciach, żeby z jednej strony zrezygnować z wielu ciekawych połączeń neuronowych, ale z drugiej wyspecjalizować się w odczytywaniu zachowań i uwielbianiu własnych dzieci. Gapienie się na nie to moje ulubione hobby, którego nikt poza moim mężem nie jest w stanie zrozumieć. Nikt nigdy nie będzie tak kochał naszych dzieci jak my. Nikt nigdy nie powie o moich dzieciach w totalnym zachwycie i zahipnotyzowaniu: „Czy ty widzisz tę twarz?!”. I nikt nigdy nie będzie okazywał mi takiej miłości jak one.

Tak, mój mózg jest inny niż w czasach mojej akademickiej świetności, jednak w tym wszystkim radzę sobie świetnie – nie licząc stłuczek – i nie żałuję niczego. W planszówkę wciąż jestem w stanie zagrać i nawet wygrać mi się zdarzy sporadycznie, a mój mąż to przecież jeden ze świetniejszych planszówkowych mózgów w kraju. Książkę chętnie od czasu do czasu do połowy przeczytam i wykładów ciekawych posłucham, choć zapamiętam max czterdzieści procent, ale budząc się codziennie z moimi maluszkami pod pachą i uśmiechniętym mężem po drugiej stronie łóżka, nie wyobrażam sobie lepszego scenariusza wydarzeń. Wiem, że teraz jest właśnie na to czas, żeby rozkoszować się tymi małymi szkrabami i nie zastanawiać się, „co by było, gdyby...?” lub „czy ja się aby nie marnuję w domu?”. Ja się nie marnuję, ja daję siebie, a w zamian chłonę miłość i radość, a to chyba całkiem niezła wymiana.



Ania

Planowaliśmy wyjechać na wakacje i musiałam wyrobić dzieciom paszporty. Okazuje się jednak, że podczas takiej procedury obecni muszą być oboje rodzice. Mieszkamy pod Krakowem, Stefan nie chodził jeszcze do przedszkola i jak zwykle nie było szans, żebyśmy mogli powierzyć komuś dzieci pod opiekę, więc musiały się wybrać z nami. Nic szczególnego, gdyby nie fakt, że w Polsce urzędy czynne są do piętnastej. Piętnastej zero zero. Wpadliśmy tam za dziesiątą trzecia, niepewni, czy maszyna wyda nam jeszcze

numerek i tym razem się uda (bo była to już nasza druga próba, by na tę piętnastą zdążyć), po czym z ogromną ulgą stanęliśmy w kolejce. Chłopcy oczywiście wytrzymali w jednym miejscu może minutę, po czym zaczęli szaleć po całym pomieszczeniu. Nie miałam siły ich poskromić, więc rozejrzałam się tylko i oceniłam, że ludzi jest już mało, przestrzeń ograniczona i raczej nic się nie stanie. Udałam, że tego nie widzę. Minuty mijały, ludzie wychodzili, a mój numerek wciąż nie wyświetlał się na tablicy. Adam załatwiał jeszcze zdjęcia do paszportu w innym okienku, ale ja widząc, że panie zamykają już stanowiska, przy jednym z nich zapytałam, czy mogę podejść, ponieważ mój numerek wciąż jeszcze się nie wyświetlił. Na co pani z często spotykanym w urzędach poirytowanym wyrazem twarzy odpowiedziała, że już za późno, że już piętnasta i że zamknęły system.

To, co nastąpiło dalej, wymaga wcześniejszego wyjaśnienia. Owszem, jestem cholerykiem. Często w chwili wzburzenia niepotrzebnie podnoszę głos i mówię bardzo szybko. Zdarzyło mi się też walnąć pięścią w stół czy trzasnąć drzwiami, ale tylko pod swoim dachem. Wśród obcych ludzi naprawdę umiem trzymać emocje na wodzy i absolutnie nie należę do kłótliwych osób. Unikam konfliktów i raczej staram się sprawy załagodzić niż dolewać oliwy do ognia. Absolutnie też nie mam w zwyczaju użalać się nad sobą lub publicznie płakać. Ale nie w tym przypadku. W jednym momencie morze łez napłynęło mi do oczu, a następnie wypłynęło strumieniami na policzki, po czym zaczęłam się zanosić jak żydowska płaczka. Pani w okienku zdębiała i zaczęła mamrotać: „Nie trzeba płakać, nie trzeba płakać”, rozglądając się nerwowo wokół. Przybiegły dwie inne urzędniczki oraz pan ochroniarz, ale mi było absolutnie wszystko jedno. Zaczęłam się żalić przez płacz, że mam już tego dość, że ja chcę tylko wyrobić

paszporty, że to jest niemożliwe, żeby dotrzeć na piętnastą, że to nie moja wina, że nie mam z kim zostawić dzieci, że mieszkam daleko, że też bym chciała pracować do piętnastej i że ja po prostu potrzebuję wakacji.

Adam stał obok zupełnie zmrożony. Wyciągnął rękę, żeby mnie objąć, ale zaraz ją cofnął i rozejrzał się dookoła, jakby lustrując, kto ze świadków sytuacji może donieść o tym do mediów i trzeba go będzie sprzątnąć. Okazało się, że panie jednak były w stanie mnie obsłużyć, więc kolejne dziesięć minut spędziłam na wypisywaniu papierów przy okienku, wciąż jeszcze pochlipując i regulując oddech. Gdy wypełnialiśmy druczki, nasze dzieci już otrząsnęły się ze zdziwienia, że mama potrafi tak głośno płakać, i znów zaczęły biegać wokół słupa. Jedna z pań urzędniczek uznała chyba, że taka patologiczna matka jak ja może mieć również problem z zadbaniem o bezpieczeństwo dzieci i pozwoliła sobie na taką uwagę:

– Ale proszę państwa, te dzieci nie mogą tak biegać, bo sobie zrobią krzywdę!

Oooooo... ile ja miałam wtedy szalejących myśli w głowie. Ile możliwych wersji i scenariuszy powiedzenia jej, gdzie dokładnie mam jej opinie na temat zachowania moich dzieci. Chciałam wykrzyknąć, że skoro taką poczyniła obserwację, to może niech się nimi zajmie, bo ja właśnie po raz setny wpisuję tu swój pesel, i że skoro wiedzą, że ta procedura wymaga obecności obojga rodziców, to mogliby tu wstawić choćby durny stoliczek z Ikei i rozsypać na nim parę kredek. I dokładnie w tej sekundzie, w której już zapowietrzałam się, żeby to wszystko jej wyłożyć (chyba pierwszy raz w życiu znalazłam się w takiej sytuacji, że publicznie poryczałam się w urzędzie, więc naprawdę było mi

już wszystko jedno), Adam całkiem kulturalnie, ale jednak przez zęby, wycedził:

– Bardzo pani dziękujemy za tę uwagę.

Wypuściłam więc powietrze, machnęłam jeszcze kilka podpisów, otarłam ostatnią łzę z policzka i wyszliśmy z tego przybytku. Samochód zaparkowany był dosyć daleko, więc przez dobrych kilkadziesiąt sekund szliśmy w milczeniu, po czym Adam powiedział:

– Myślę, że jesteś w ciąży.

I tak właśnie było.

Mam nadzieję, że ten przykład jest wystarczającym dowodem, że jednak zmiany hormonalne, jakie zachodzą w ciele kobiety w związku z wydaniem na świat i wykarmieniem dziecka, to nie mit. Naprawdę nie wyobrażam sobie, co innego mogłoby spowodować we mnie taką reakcję. Ale to tylko czubek góry lodowej. Chodzi tu o znacznie więcej niż emocje i klasyczne:

– Czemu płaczesz?

– Nie wiem.

Dwa miesiące później, tradycyjnie już, jak zawsze w ciąży, zaliczyłam stłuczkę. Każda z opowieści stłuczkowych jest wybitna i nawet mi nie mieści się w głowie. Za pierwszym razem cofałam z impetem na parking, nie myśląc o tym, aby uprzednio sprawdzić, czy żaden samochód nie zaparkował za mną. Drugim razem przejechałam na styk (bo przecież mam dobre oko) tuż koło innego auta, zapominając o pewnym wystającym elemencie samochodu, jakim jest boczne lustro. Trzeci raz jest równie imponujący – stałam bowiem w sznurze samochodów na czerwonym świetle, a gdy zobaczyłam, że pojawiło się zielone ruszyłam... prosto w samochód stojący przede mną, który to ruszyć jeszcze nie zdążył.





2013



Ciekawostka z mojego życia: nie lubię kolorowych plastikowych naczyń i pojemników i to mnie troszkę w macierzyństwie przerażało. Rozładowując dziś zmywarkę, otworzyłam jedną z szafek kuchennych i ujrzałam to:

Instalacja pt. „Anna – kobieta / Anna – matka.

Niepotrzebne skreślić”

Artystka posłużyła się w niej metaforą naczyń kuchennych, by wyrazić dwoistość własnej tożsamości, odkąd stała się matką. Instalacja manifestuje zjawisko sprzeczności, w jakiej stoją potrzeby i pragnienia kobiety oraz powinności wynikające z bycia matką. Ego i alter ego. Dwie odrębne jednostki w jednym ciele. Artystka znana jest z posługiwania się przedmiotami użytku codziennego.

[#mamaartystka](#) [#zadużokawy](#) [#sztukamnieodpadła](#)

Zrobiłam to tak umiejętnie, że popchnięty przeze mnie samochód wmeldował się w zderzak kolejnego auta (tak, tamten też jeszcze nie ruszył, tylko ja byłam taką przodowniczką). I tak właśnie spowodowałam minikarambol, no bo przecież jak już coś robić, to na całego, jak ruszać, to konkretnie. Cóż, wierzcie mi lub nie, w normalnych warunkach całkiem dobry ze mnie kierowca. Mój dotychczasowy wynik to trzy stłuczki. Każda z nich w ciąży. Przypadek? Nie sądzę.

W pierwszej ciąży straciłam nagle całą odwagę życiową. Bałam się zadzwonić, iść na zakupy, jechać autobusem, rozmawiać z obcymi. Nie miałam ochoty na absolutnie żadnych gości, więc mój kontakt z ludźmi był bardzo ograniczony, a co za tym idzie, nie zorientowałam się tak od razu, że coś tu jest na rzeczy. Owszem, mój zasób słów znacznie się zmniejszył i to akurat wyszło całkiem szybko, bo byłam wtedy na studiach i pisałam sporo prac, ale jednak jakoś byłam w stanie się kamuflować. Kiedy jednak przyszedł czas karmienia piersią – a był to ostatni rok moich studiów, co oznaczało pisanie pracy magisterskiej – problem nabrał realnych kształtów. Wciąż otwierałam słownik synonimów, bo nie mogłam znaleźć najprostszego słowa. Zaczynałam myśleć, ale nie byłam w stanie jej skończyć. Wpadałam na świetną koncepcję, ale sekundę później pamiętałam już tylko, że była świetna. Czytałam fachową literaturę z poczuciem, że może ja studiuję inny kierunek albo po prostu nie należy mi się ten tytuł i powinnam sobie magistra odpuścić. Moja praca w pewnym zakresie dotyczyła psychologii poznawczej, więc czytałam jeden akapit po piętnaście razy, a ostatecznie i tak nie byłam pewna, czy dobrze zrozumiałam, o co chodzi. Kiedyś pojechałam zaliczyć kilka kolokwium i w drodze okazało się, że kupiłam zły bilet (takie małe pomyłeczki również zdarzały mi się nagminnie), a ja nie byłam

w stanie znaleźć odpowiednich słów, by wytłumaczyć konduktorowi, w czym tkwił problem. No właśnie! O co tu chodziło?

Czułam się jak totalny przygłup i zaczęłam podejrzewać już u siebie jakieś schorzenie, gdy z dnia na dzień postanowiłam odstawić Antka od piersi i nagle coś się zmieniło. Impulsem do zakończenia karmienia piersią był dla mnie wyjazd na wesele mojej dobrej koleżanki. Było bardzo piękne, bawiliśmy się świetnie, ale najpiękniejsze było to, że odbyłam tam tyle błyskotliwych konwersacji! Czułam się jak mistrzyni słowa, w lot wyrażałam swoje myśli ze wszystkimi niuansami, używając przy tym wyrazów, o których istnieniu niemal zapomniałam. To był moment, kiedy już wiedziałam, że sobie tego nie wymyśliłam. Moja przerwa na bycie sobą w wersji premium trwała tylko trzy miesiące, a potem wróciłam do postaci ubogiej intelektualnie, bo zaszałam w drugą ciążę. Na szczęście tym razem było znacznie łatwiej, ponieważ sama świadomość tego, że nie pracuję na najwyższych obrotach, była już pomocna. Parę razy przed ważniejszymi spotkaniami biznesowymi miałam ochotę uprzedzić na wstępie, że normalnie przyszłaby tutaj całkiem inteligentna i błyskotliwa kobieta, ale aktualnie zamiast niej przyszałam ja. Jednak nie miałam wiary w to, że mężczyźni, z którymi się spotykam, zrozumieją to zjawisko. Sama nie do końca je rozumiem.

Czuję, że w mojej głowie mieszka chomik, który w „normalnych” okresach biega sobie całkiem wydajnie w swoim treningowym kółeczku, produkując przeciętną, ale wystarczającą ilość tego czegoś, co jest mi potrzebne do funkcjonowania. Czasem, gdy zachodzi taka potrzeba, chomiczek mój jest w stanie wrzucić wyższy bieg, przejść na program „inteligentna i błyskotliwa” i zaiwanąć tak, że z kółeczka lecą iskry. I nie ukrywam, lubię te fazy.



Piszę, dosłownie zasypiając nad klawiaturą. Weekend upłynął niestety pod znakiem choroby mężczyzn w moim domu. A chory mężczyzna to nie przelewki. :) Ocalał tylko Józek, co zresztą widać na załączonym obrazku: wdrapał się na Adamową klatę niczym Rose na drzwi w Titanicu i przedryfował jakoś przez ocean zarazków.

[@adamvonweber](#) [#powerofbreastfeeding](#)

Ale to, co się dzieje w okresie karmienia, to jest jakiś kataklizm: chomik ma niedowład kończyn, kółko skrzypi, on jednak nie może po prostu z niego wyjść, tylko męczy się biedaczyna, potyka i obija. I tak ponad rok. Doliczając ciążę, prawie dwa lata w moim wypadku. I jak ja mam to tym biznesmenom wyjaśnić? Nauczona doświadczeniem, tuż przed zajściem w trzecią ciążę ustawiłam jak najwięcej spotkań i projektów, które wymagały, by chomik był w formie. A teraz pocieszam się, że nic nie trwa wiecznie: kiedyś przestanę karmić i wtedy najwyżej napiszę tę książkę jeszcze raz.

Mam wrażenie, że moje imię to Wyrzut Sumienia. Gdy jestem w pracy, żałuję, że nie ma mnie dla moich dzieci, gdy jestem z nimi, to czasem myślę, że zwariuję. Ciągle tylko wymyślam nowy plan pogodzenia wszystkiego.

A jaki jest twój plan pogodzenia wszystkiego? Czy myślisz, że kiedykolwiek wcielisz go w życie? Nie przejmuj się! Wymyślisz jeszcze niejedną, lepszą, bo każdy dzień przyniesie ci nowe zaskakujące doświadczenia.

Ania i Ola to mamy lamy – zupełnie zwykłe, nieidealne, a zarazem najlepsze na świecie mamy dla swoich dzieci. Opowiedzą ci, jak przetrwały i jak każda z nich radzi sobie w życiu z trójką dzieci.

Macierzyństwo – jako jedyne spośród życiowych zjawisk – jest dla nas zawsze szokiem. Niezależnie od liczby przeczytanych poradników, blogów i przestudiowanych badań, wciąż zostajemy z tym naszym macierzyństwem same.

Dlatego **MAMA LAMA** to książka dla wszystkich mam – obecnych i przyszłych, tych, które już wszystko wiedzą i po prostu potrzebują chwili relaksu w towarzystwie innych podobnych mam, i tych, które szukają wszelkich możliwych podpowiedzi, jak się to macierzyństwo „robi”, bo póki co zupełnie nie wiedzą, czego mają się spodziewać.

Ola i Ania prowadzą na YouTube kanał *Mama Lama*, który obserwuje już prawie osiemdziesiąt tysięcy osób. Dlaczego? Bo z poczuciem humoru i dystansem do siebie i świata opowiadają o tym, jak radzą sobie z macierzyństwem oraz innymi przypadłościami żywotnymi.

E-book dostępny na [woblink.com](http://woblink.com)

ISBN 978-83-8135-018-1



9 788381 350181

Cena detal. 44,90 zł



OTWARTE